

B A R R Y L O P E Z

HORYZONT

Przełożył JAROSŁAW MIKOS

MARGINESY

Horizon

COPYRIGHT © 2019 BY Barry Lopez

This edition is published by arrangement with Sterling Lord Literistic, USA
and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Jarosław Mikos

COPYRIGHT © BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2023

Dla Debry
oraz Petera Matsona i Robin Desser
– z głęboką wdzięcznością
za wieloletnie wsparcie

Podróżować to nade wszystko odmienić ciało.

Antoine de Saint-Exupéry, *Pocztą na Południe*,
przeł. Aleksandra Ołędzka-Frybesowa

Od autora

Horyzont to autobiograficzna refleksja nad trwającym kilka dziesięcioleci okresem podróży i badań w rejonie Antarktydy, a także w siedemdziesięciu innych krajach. Część tych wypraw sfinansowałem sam, na inne otrzymałem granty albo stypendia. Kilka wyjazdów wiązało się z zamówieniami różnych czasopism, parę razy po prostu skorzystałem z zaproszenia. Związane z tym szczegóły oraz wyrazy wdzięczności dla wszystkich, którzy wspierali mnie przez lata, zawarłem w *Podziękowaniach*.

Większość opisanych poniżej wypraw podjąłem jako człowiek czterdziesto- i pięćdziesięcioletni, choć na Galapagos, Antarktydę i do Australii wybierałem się kilkakrotnie, przy różnych okazjach i w różnych momentach życia. Uznałem, że najprostszym sposobem uporządkowania tych doświadczeń będzie po prostu opowiedzenie o nich bez specjalnej dbałości o chronologię. Chciałem jednak dodać, że gdy wybrałem się na Przylądek Złej Pogody, aby zmierzyć się z tamtejszą zimową burzą, miałem czterdzieści dziewięć lat; gdy postanowiłem obejrzeć stanowiska archeologiczne na wyspie Skraeling, byłem tuż po czterdziestce i właśnie opublikowałem książkę *Arktyczne marzenia* poświęconą północnym rejonom Ameryki; gdy zaś wybrałem się do Graves Nunataks w Górach Transantarktycznych, miałem pięćdziesiąt cztery lata.

Ponieważ *Horyzont* jest w zamyśle książką autobiograficzną, powinienem podkreślić, że przy okazji wszystkich podróży nieustannie starałem się pogłębiać swoją wiedzę. W książce nie próbowałem wprost informować czytelnika o tym, czego i kiedy się nauczyłem (albo co zapomniałem), po części dlatego, że dla mnie samego nie zawsze było jasne, jakie zmiany zaszły we mnie pod tym względem. Młody człowiek odwiedzający stanowisko archeologiczne na wyspie Skraeling jest tym samym, który pod koniec książki spotyka nieznanego na drodze do Port Famine – ale jednocześnie już kimś innym.

Prolog

Mały chłopiec i ja przechylamy się przez stalową barierkę, wpatrując się w powierzchnię morza. Słońce świeci jasno, ale cień dachu nad naszymi głowami sprawia, że wyraźnie widzimy, co kryje się w głębi wody, i możemy się dokładnie przyjrzeć, ile zostało z konstrukcji okrętu wojennego, który zatonął w tym miejscu siedemdziesiąt dwa lata wcześniej.

Mój wnuk ma dziewięć lat. Ja skończyłem sześćdziesiąt siedem.

Taras widokowy, na którym stoimy razem z moją żoną, został wzniesiony nad szczątkami okrętu USS „Arizona”, pancernika typu Pensylwania o długości 185 metrów, który rankiem 7 grudnia 1941 roku został zaatakowany u nabrzeża przez japońskie bombowce nurkujące. Zatonął w ciągu kilku minut. Jego zalany kadłub jest od tamtej pory nekropolią kryjącą szczątki wielu spośród 1177 marynarzy i żołnierzy, którzy tamtego ranka zginęli lub zatonęli na okręcie. Wyjaśniam chłopcu, że czasami robimy sobie nawzajem coś takiego, wyrządzamy sobie tak ogromne krzywdy. Słyszał o 11 września 2001 roku, ale, jak sądzę, nie wie jeszcze nic o Dreźnie czy froncie zachodnim. Zapewne nie słyszał nawet o Wietnamie i Hiroszimie. Ale nie opowiem mu dzisiaj o tamtych potwornościach. Jest na to za mały. Byłoby z mojej strony czymś nierozsądnym – a nawet okrutnym – świadomie narażać go na takie treści.

Później tego ranka cała nasza trójka nurkuje na rafie koralowej. Obserwujemy ławice ryb tropikalnych, które nagle zmieniają kierunek, skupiają się i rozpraszają przed nami niczym barwne sztandary na wietrze. Potem jemy lunch na brzegu basenu w hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Chłopiec pływa niestrudzenie w połyskującej wodzie o barwie oceanu aż do chwili, gdy babcia zabiera go ze sobą na plażę. Biegnie, żeby wskoczyć do Pacyfiku.

Nigdy nie ma dość pływania.

Patrzę na niego przez kilka minut, gdy rzuca się na każdą nadchodzącą falę. Jego babcia, stojąc po kolana w przybrzeżnej pianie, obserwuje go uważnie bez chwili przerwy. W końcu siadam na fotelu przy brzegu basenu ze szklanką mrożonej lemoniady i zaczynam czytać biografię amerykańskiego pisarza Johna Steinbecka, którą niedawno kupiłem. Co jakiś czas odrywam wzrok, żeby obserwować refleksy słońca na powierzchni oceanu albo śledzić wzrokiem stada wróbli przelatujących nad stolikami ogródka hotelowej restauracji, gdzie wypatrują okruszków. Czasem przez długie minuty z mieszaniną ciekawości i czułości patrzę na innych gości, którzy opalają się na leżakach ustawionych wokół basenu albo leniwie się przechadzają. Przejrzyste powietrze i łagodne światło nastrojają mnie przyjaźnie wobec wszystkiego, co mnie otacza, a co nie jest mną. Kiedy biorę głębszy oddech, moją uwagę przykuwa gęsta, przypominająca perfumy woń tropikalnych kwiatów żywopłotu obok. Czy to bugenwilla?

To uczucie spokoju pogłębia niepokromiona energia mojego wnuka.

Większość gości to Azjaci. Dostrzegam zwłaszcza charakterystyczne rysy Japończyków i Chińczyków. W drogich strojach przechadzają się po restauracji przy brzegu basenu, dyskretnie sygnalizując obsłudze, że potrzebują ręcznika, albo potrzásają gazetą „The Honolulu Star-Advertiser”, żeby wyrównać strony. Wszyscy sprawiają wrażenie ludzi, którzy na co dzień mają do czynienia z luksusem. A w każdym razie tak sobie wyobrażam taki stan.

Wracam do biografii pisarza. W rozdziale, który czytam tego dnia, autor opowiada o spotkaniu Steinbecka w jego domu w Pacific Grove w Kalifornii z historykiem mitologii Josephem Campbellem. Poprzedniego wieczora Steinbeck, kompozytor John Cage, Campbell, pierwsza żona Steinbecka Carol oraz kilka innych osób zjedli kolację w domu pisarza. Campbell pojawił się teraz na patiu Steinbecka, aby go poinformować, że zakochał się w Carol. Oskarża pisarza, że traktuje ją paskudnie, i mówi, że jeśli nie zmieni swojego postępowania, wtedy on, Campbell, zamierza spytać Carol, czy zechciałaby go poślubić i pojechać z nim do Nowego Jorku.

Nagle odrywam wzrok od książki i przypominam sobie, że w 1956 roku byłem na letnim obozie z dwoma synami Steinbecka, nazywali się Thom i John. To było dla mnie pamiętne spotkanie. Miałem wtedy jedenaście lat i w tym samym czasie poznałem także ich ojca. Zdumiewała

mnie masywna postać człowieka, który napisał *Kasztanka* (przedstawiono mnie także jego trzeciej żonie Elaine; była chłodna i lekceważąca).

Wracam do książki, do miejsca, w którym przerwałem, i pragnę poznać dalsze losy tego dziwnego triumwiratu Steinbecka, Johna Cage'a i Josepha Campbella.

Kilkadziesiąt stron dalej czuję, jak padające z zachodu słońce pali mój prawy policzek. Stado wróbli szybko przelatuje mi nad głową i nagle zaczynam się zastanawiać, czy tego ranka w Pearl Harbor, zanim poszliśmy obejrzeć wrak „Arizony”, nie zrobiłem czegoś bardzo niedobrego. Oprowadziłem wtedy mojego wnuka po wnętrzu amerykańskiej łodzi podwodnej z czasów II wojny światowej, wyjaśniłem mu jej budowę, działanie peryskopu, pokazałem luki kryjące torpedy. Bardzo ochoczo dotykał ich gładkiej powierzchni, powoli przesuując dłonią, obejmując małymi rękami głowice bojowe.

Właśnie w tym momencie jakaś ładna Japonka podchodzi na skraj basenu i zgrabnie wskakuje do wody. Intuicyjny ruch. Rozbryzg wody wznosi się wokół niej niczym spódnica tancerki flamenco. Woda rozpada się na przejrzyste kryształki.

Czując piękno tej chwili, nagle zadaję sobie pytanie: co z nami będzie?

Wstaję, zaznaczam palcem miejsce w książce i omiatam wzrokiem załamujące się fale widoczne ponad żywopłotem z winorośli. Wypatruję wnuka. Macha do mnie gorączkowo spod grzbietu fali. Cały roześmiany: tutaj, dziadku!

Co się z nami wszystkimi stanie, teraz, w czasach agresywnych podziałów, codziennej przemocy?

Mam ochotę podziękować tej kobiecie za jej elegancki skok, niewymuszoną grację, elegancję ruchów.

Chciałbym, aby każdy z nieznanomych, których widzę wokół siebie na fotelach i leżakach, aby każdy z nich miał spokojne życie. Chciałbym, żeby wszyscy tu obecni przetrwali to, co nadchodzi.

Wprowadzenie

1. Mamaroneck

Historia, mająca w zamyśle ukazać trajektorię życia dziadka czytającego na skraju basenu, mogłaby się zacząć sześćdziesiąt pięć lat wcześniej, daleko od Hawajów, w zatoce Long Island Sound na brzegu zakola zwanego Mamaroneck Harbor. To pas osłoniętej wody o niemal gładkiej powierzchni, gdy wiatr wieje ku zachodowi od strony Crane Island. Tamtego dnia chłopiec, który nie potrafi jeszcze pływać, wchodzi coraz głębiej do słonej wody pod czujnym okiem matki obserwującej go z brzegu. Trzydziestokilkuletnia kobieta o ciemnych włosach siedzi z podwiniętymi nogami na bawełnianym kocu zaledwie dwadzieścia parę metrów dalej. Jest w zaawansowanej ciąży, spodziewa się drugiego dziecka i szydełkiem wyszywa wzór przedstawiający polne kwiaty wazonie. Jest 1948 rok. Kobieta rozmawia z przyjaciółką w cieniu dużego białego dębu na cyplu Orienta, na wybrzeżu hrabstwa Westchester pod Nowym Jorkiem¹.

Chłopiec zatrzymuje się wreszcie, gdy chłodna woda sięga mu do brody. Matka obserwuje go teraz nieustannie. Chłopiec chciałby iść dalej i popłynąć obok Turkey Rock, a potem dalej, mijając Scotch Caps – wysepki widoczne na odległym skraju zatoki. Za nimi rozciąga się horyzont morskiej wody. Biała karta.

Zawraca jednak w stronę brzegu, kołyszac się jak krab wśród niewielkich fal załamujących się na jego drobnych ramionach.

Kilka miesięcy później, wraz z nadejściem zimy w Nowej Anglii i w następstwie narodzin jego młodszego brata, chłopiec przenosi się z całą rodziną na sztucznie nawadniane tereny rolnicze w jednej z dolin południowej Kalifornii. Rosną tam zagajniki orzechów włoskich i pomarańczy, pola lucerny. Sady brzoskwińowe. To dolina San Fernando. Ta równina o klimacie śródziemnomorskim jest od południa otoczona górami Santa Monica, a od północy łańcuchem San Gabriel z ośnieżo-

nymi szczytami. W życiu chłopca zaczyna się zupełnie nowy okres. Inna geografia. Nieznany klimat. Nieznane wcześniej rasy ludzi.

Pewnego dnia, kilka lat po przyjeździe na południe, jego ojciec odchodzi. Wraca do swojej pierwszej żony, która mieszka na Florydzie z ich synem, i chłopiec z matką oraz młodszym bratem zaczynają zupełnie inną egzystencję. Jego matka prowadzi zajęcia z ekonomii gospodarstwa domowego w gimnazjum w Northridge, a wieczorami uczy krawiectwa w koledżu Pierce Junior w pobliżu Calabasas. W inne wieczory pracuje w domu – szyje eleganckie stroje dla swoich klientek. Ojciec pisuje listy z Florydy. Obiecuje w nich, że przyśle im pieniądze, ale nigdy nie wywiązuje się z tych obietnic. Mimo to wydaje się, że każde z tych trojga ma wszystko, czego mu trzeba. Chłopiec jest ciekawy świata, ale nieufny. Typowy dzieciak z przedmieścia. Nawiązuje przyjaźnie z innymi chłopcami z okolic i z kolegami z katolickiej szkoły podstawowej Our Lady of Grace w Encino. Poznaje także kilku uczniów matki – synów *braceros** pracujących na plantacjach warzyw na północ i zachód od ich domu w Resedzie.

Chłopiec uczy się jeździć na rowerze. Kiedy opanowuje tę sztukę, jeździ w nieskończoność. Dociera na północy doliny aż do Granada Hills i na zachód do Chatsworth.

Matka zabiera chłopców na zachodnią pustynię Mojave, na wschodnią Mojave i do Wielkiego Kanionu, a także na południe, do zoo w San Diego i za granicę – do Meksyku.

Pewnego popołudnia chłopiec stoi na Topanga Beach na brzegu Pacyfiku, nieco na wschód od Malibu. Obserwuje, jak ogromne bałwany załamują się na plaży, i na prośbę matki cofa się w obliczu potężnej siły wracających fal. Rozumie, że spienione, gwałtowne fale przyboju dotarły na tę plażę z jakiegoś innego miejsca. Czuje delikatny powiew; przybrzeżna bryza łagodzi palące promienie słońca na jego białej skórze. Światło rozbłyskuje w odpryskach kwarcu na piasku u jego stóp.

To także jest dla niego coś nowego – poczucie, że jest otulony przez łagodne wiatry i pieszczony przez światło. Wiele lat później, gdy będzie samotnie wędrował przez odległe miejsca, przypomni sobie ten moment i zatęskni za tym wrażeniem.

Tego dnia na Topanga Beach jest z nimi przyjaciel jego matki. Chłopiec ma nadzieję, że pewnego dnia ten człowiek zostanie jego ojcem.

* *Bracero* (hiszp.) – pracownik fizyczny (przyp. tłum.).

Mężczyzna opowiada chłopcu, że daleko, po drugiej stronie wody, jeszcze dalej niż burza, która wywołała te fale, leży starożytny kraj – Chiny. Chłopiec nie ma pojęcia, jak wyglądają Chiny. Wysoki mężczyzna o długich palcach i długich nogach, mówiący łagodnym głosem, ubrany w spodnie khaki, wywołuje w umyśle chłopca skojarzenie z eleganckim lotem flaminga. Chłopiec wyobraża sobie, że ten mężczyzna wie wiele różnych rzeczy. Pracuje w ogrodzie botanicznym w Santa Barbara i pewnego dnia zabiera chłopca do pracy. Ma na imię Dara. Pokazuje różnice między roślinami; pracuje razem z chłopcem w szklarniach. Wyjaśnia, w jaki sposób kwitnący krzew wyrasta z niewielkiego ziarenka.

Ulubionymi drzewami chłopca stają się teraz wysokie eukaliptusy kamaldulskie i eukaliptusy gałkowe porastające Calvert Street, przy której mieszka. Lubi ich królewski majestat; zrzucający korę, gładki pod palcami pień, zapach twardych owoców. Zawsze nosi w kieszeniach kilka takich kostek. Podoba mu się dumna wysokość tych drzew, ich rozległe konary, to, jak ich gałęzie przecinają błękitne niebo, gdy stoją obok siebie, a także szum wiatru w ich liściach. Czuje się bezpiecznie, gdy kryje się w ich cieniu. Dara opowiada mu, że w okolicy Los Angeles nazywają je *skyline trees* – drzewami na horyzoncie. Podoba mu się to. Pochodzą z Australii, wyjaśnia Dara, ale rosną na całym świecie, o ile tylko mają odpowiednie warunki. To samo można powiedzieć o plumeriach i bugenwillach rosnących w ogrodzie botanicznym. Dara mówi, że te dwa gatunki roślin, podobnie jak eukaliptusy, można teraz znaleźć wszędzie „na podzwrotnikowych terenach kolonialnych”.

Chłopiec nie potrafi sobie wyobrazić Australii, ale jest zachwycony myślą, że drzewa można zabrać z ich rodzinnego kraju, by szczęśliwie rosły w innych miejscach na świecie.

Kiedy nocą leży w łóżku i wyobraża sobie upragnioną przyszłość – to metoda, którą posługuje się, by wysondować rozległe połączenie swoich marzeń – widzi ogród botaniczny, Darę i jego dłonie, które delikatnie obchodzą się z roślinami. Do tej pory chłopiec zdążył się też zapoznać z paroma mniej przyjemnymi wiadomościami, budzącymi większy niepokój. Ostrożnie przygląda się życiu jadowitych pajaków, czarnych wdów, które mieszkają w garażu przy domu, wpatruje się w czerwoną klepsydę połyskującą na odwłoku samic. Kiedy opowiada dorosłym o grzechotniku, który zaskoczył jego i jego przyjaciela o imieniu Thair, gdy pewnego

ranka polowali na jaszczurki (z rodzaju *Elgaria*) w górach Santa Monica, napawa się uwagą, z jaką dorośli śledzą jego opowieść.

Wąż rzucił się w ich stronę, gdy zaczęli go drażnić. Chłopiec nie opowiada jednak swoim słuchaczom o tym, że razem z Thairem zatłukli go kijem na śmierć.

Gdy pewnego razu spędzają weekend na Zuma Beach, chłopiec zostaje oparzony przez żeglarza portugalskiego – ogromnego parzydełkowca unoszącego się na fali przyboju. Ambulans zabiera go do szpitala; chłopiec wymiotuje i cały się trzęsie.

Ufa ochronnej mocy potężnych eukaliptusów i zastanawia się nad siłą żeglarza portugalskiego. Te dwie rzeczy splatają się teraz w jego umyśle.

Jest zawstydzony tym, że zabił węża i że się do tego nie przyznał.

Niemal w każdą sobotę chłopiec wybiera się z matką i bratem na targowisko w Los Angeles u zbiegu Trzeciej i Fairfax, dokąd jadą ze swojej doliny ciemnozielonym fordem *coupé* matki. Chłopiec uwielbia ciężar i połyskliwość owoców. Musi sięgać ponad głowę, aby dotknąć owoców w skrzynkach ustawionych jedna na drugiej, pełnych renklod, kumkwatów i nektarynek. Lubi też brać do ręki cykorię, czuć wilgotne liście marchewek na swoim czole, brać w dłonie melony miodowe. Są dla niego niczym pierwsze zwierzęta domowe.

Jedna z przyjaciółek jego matki ma plantację awokado niedaleko Fallbrook. Jej mąż, pilot douglasa DC-6, który co tydzień w maszynie American Airlines lata do Honolulu, a potem do Tokio, nie jest zainteresowany odpowiadaniem na pytania chłopca, który pragnie wiedzieć, jak można polecieć z Los Angeles do Honolulu, a potem do Tokio. Chłopiec dochodzi do wniosku, że pewnego dnia będzie miał ranczo, takie jak to należące do przyjaciół matki. Będzie uprawiał awokado, a może też nashi, które kruszą się pod naciskiem jego zębów z chrzęstem podobnym do jabłek odmiany mekintosh. Podoba mu się takie życie. Będzie woził furgonetką owoce, a także bukiety ciętych kwiatów – lewkonii, irysów, goździków – na targowisko. Zacznie też hodować pszczoły, które będą zapylały jego kwiaty i drzewa owocowe. Niewykluczone, że będzie sprzedawał miód, świeże jajka, szparagi i granaty na przydrożnym straganie, takim jak te, przy których jego matka zatrzymuje się każdego dnia, kiedy wracają ze szkoły.

Wieczorami, gdy zapada w sen, chłopiec najczęściej stara się ukoić samego siebie pewnością, że już wybrał swoją przyszłość. Będzie jeździł traktorem, ciągnąc za sobą bronę, po polu, na którym wyrosną warzywa i zboża. Będzie rozbijał skiby ziemi, które zostawia za sobą pług. Będzie bardzo starannie rozmieszczał zraszacze, aby podlewały rozmaite gatunki róż, które będzie hodował w swoich ogrodach. W zimowe noce będzie rozpałał w sadach zbiorniki z olejem, aby chronić drzewa owocowe przed przemarzeniem.

Im dokładniej wyobraża sobie swój traktor i ciężarówkę, tym mniej obawia się pewnego obcego mężczyzny, który pojawił się w jego życiu, mężczyzny, który w niczym nie przypomina Dary².

Pewnego zimowego popołudnia chłopiec idzie z matką na pocztę w Canoga Park. Podczas gdy ona czeka w kolejce, chłopiec przygląda się wielkiemu muralowi zatytułowanemu *Palomino Ponies* na wschodniej ścianie budynku. Jest zauroczone. Wiele lat później nie będzie mógł sobie przypomnieć tego obrazu, gdy natknie się na inne dzieła Maynarda Dixona. Będzie sobie błędnie wyobrażał, że to było tableau przedstawiające z profilu twarze amerykańskich Indian o wysokich kościach policzkowych i skórze barwy sjeni palonej i ochry. Ale na tym muralu z Kalifornii, przedstawiającym *vaquero** z lat czterdziestych XIX wieku, nie ma żadnych Indian. *Vaquero* pędzi przez złotą prerię w pościgu za siedmioma końmi rasy palomino. W umyśle chłopca mural na budynku poczty stopi się ze wspomnieniem bardziej znanego obrazu Dixona *Earth Knower*, a później źle zapamiętany obraz pomyli mu się ze wspomnieniem z dzieciństwa, gdy późnym popołudniem pewnego upalnego dnia napotkał Indian na peronie w Needles na wschodzie pustyni Mojave. Miał wtedy osiem lat. On i jego brat razem z przyjaciółką ich matki wsiedli w Los Angeles do nocnego pociągu jadącego w stronę Wielkiego Kanionu. Po północy chłopiec wyszedł na peron tamtego małego kalifornijskiego miasteczka na zachodnim brzegu rzeki Kolorado; po raz pierwszy nie spał o tak późnej porze. Zobaczył wtedy kilkunastu Indian Mohave kręcących się wokół, a może to byli Havasupai z kanionu czekający na członków swojej rodziny, którzy przyjechali tym samym pociągiem albo wybierali się w drogę. Mimo upału wszyscy naciągnęli na głowy szale albo

* *Vaquero* (hiszp.) – kowboj (przyp. tłum.).

zerkali spod zwojów koców na sprzedaż. Nie potrafił rozszyfrować niemal niesłyszalnych dźwięków ich języka.

Nigdy nie zapomni surowości tej sceny. Obcości tych postaci.

Tego dnia w budynku poczty, gdy dobrze już zapamiętał pozycję jeźdźca pędzącego na swoim wierzchowcu i siłę mięśni dzikich koni, oświadczył matce, że pewnego dnia zamierza zostać malarzem.

Ale w tamtym momencie zapewne wszystko, czego pragnął, to stać się nieustraszonym *vaquero*.

A potem jego matka nagle ponownie wychodzi za mąż za biznesmena z Nowego Jorku. To koniec życia w Kalifornii. Chłopiec przenosi się ze swoją nową rodziną na Manhattan. W miejsce bardziej hałaśliwe, gdzie domy są wyższe, a życie szybsze niż w jego rodzinnych okolicach. Zimowe niebo ma inną barwę. Pogoda jest chłodniejsza, jesienne liście żółkną na platanach, które chłopiec początkowo myli z kalifornijskimi jaworami. Kiedy jego ojczym zwraca uwagę na ludzi siedzących po drugiej stronie restauracji, o których mówi „Indianie”, chodzi mu o ludzi pochodzących z innego kontynentu, nie stąd.

Tego pierwszego lata w Nowym Jorku chłopiec zostaje wysłany z bratem na obóz letni w St. Regis na Long Island, niedaleko East Hampton. Tam poznaje chłopca o imieniu John, o którym sądzi, że pochodzi z Kalifornii. Mieszkają w domku razem z trzema innymi jedenastoletkami. Chłopiec dowiaduje się, że ojciec Johna napisał kilka książek o Kalifornii, ich akcja toczy się w Dolinie Kalifornijskiej, w miejscu bardzo przypominającym dolinę San Fernando ze wspomnień chłopca. Czytał nawet jedną z tych książek – zbiór opowiadań zatytułowany *The Long Valley*. W dniu wizyt rodziców kalifornijski autor książek przypląwa łodzią motorową z kabiną, aby odwiedzić swoje dzieci. Zarzuca kotwicę przy plaży, żeby nie spotykać się z innymi rodzicami. Przypląwa jasnozieloną wiosłową łódką po synów, a ci razem z rodzicami spędzają całe popołudnie na pokładzie motorówki. Po odjeździe własnych rodziców chłopiec siedzi na plaży i obserwuje łódź.

Czeka.

Chłopiec, który brodził w Mamaroneck Harbor, a potem przeniósł się do południowej Kalifornii i sądził, że pragnie uprawiać awokado albo zostać malarzem, mieszka teraz w budynku z brązowego kamienia w okolicy Murray Hill na Manhattanie. Jesienią zacznie siódmą klasę w pry-

watnej szkole prowadzonej przez jezuitów przy 83 Wschodniej, zaczęte też służyć do mszy jako ministrant w kościele Zbawiciela przy 38 Wschodniej, za rogiem swojego domu.

Minie trochę czasu, nim przyzwyczai się do tego miejsca.

Tego lipcowego popołudnia w St. Regis czeka, wpatrując się w białą łódź. Z oknami przesłoniętymi firankami wydaje mu się spowita milczeniem. Nie widać nikogo na mostku ani na rufie. Mały John powiedział mu, że jego rodzice przyjechali ze swojego domu w sąsiednim Sag Harbor, starym miasteczku wielorybników. Chłopiec zapamiętał tę nazwę: Sag Harbor. Obraz tego miejsca wiąże się mocno z jego budzącą się świadomością ogromu i spokoju wielorybów i przeraźliwej gwałtowności ich mordowania.

Wiele lat później chłopca martwi fakt, że nie potrafi sobie przypomnieć żadnego szczegółu nieprzeniknionej łodzi Steinbecka, mimo że przyglądał się jej bardzo uważnie przez godzinę. Tylko jasnozielona szalupa wisząca krzywo na rufie wyróżnia się w pewien sposób. Tego popołudnia, gdy powoli wzbiera przypływ, łódź ustawia się niemal bokiem do chłopca. Nic się nie porusza. Chciałby wspominać z Johnem dni spędzone w Kalifornii, ale w tym momencie pragnie po prostu popłynąć w stronę motorówki i powiedzieć dorosłemu Johnowi, że czytał *Kasztanka* i uważa tę książkę za bardzo dobrą. Pragnie stać się częścią rodziny, która toczy właśnie rozmowy na pokładzie.

Nagle przy wyjściu z kabiny pojawia się sam pisarz z dużą łysiejącą głową. Widać, jak spuszcza szalupę na wodę, by zawieźć chłopców na brzeg. W rozproszonym świetle późnego popołudnia wyłaniająca się z lekkiej mgiełki łódka z pasażerami wygląda niczym zjawa. Chłopiec nie słyszał jeszcze o Styksie ani o Charonie, ale później właśnie takie obrazy pojawiają się w jego pamięci, gdy przypomni sobie tę chwilę.

Tego wieczora, gdy leżą już w łóżkach, chłopiec pyta Johna, jak według niego jego ojciec czuje się tutaj, w Nowym Jorku, po przenosinach na 72 Wschodnią z drugiej strony kraju, z Kalifornii. Słucha go uważnie z nadzieją, że dowie się, co jego kolega, który sam zdołał się jakoś przystosować, usłyszał od rodziców. Chciałby, żeby jemu też udało się podobna przemiana, ale jednocześnie wyczuwa jakieś poważne, bliżej nieokreślone przeszkody. Czuje, że może go spotkać rozczarowanie i jego oczekiwania się nie spełnią.

Nie zdaje sobie sprawy, że John, jego kolega z obozu, nie dorastał w Kalifornii.

W następnych latach, w chwilach ciszy tuż przed zaśnięciem, chłopiec czasami przypomina sobie anonimową łódź i popołudniową mgłę, która przesłaniała horyzont widoczny w oddali. Rozmyśla o plażach Kalifornii, Zuma i cypla Dume w zatoce Santa Monica na zachód od Los Angeles, i o mężczyźnie, którego jego matka postanowiła nie poślubić i który opowiadał mu o Chinach, a także o eukaliptusach. Jest głęboko przekonany, że w Chinach jest coś, co musi pewnego dnia zobaczyć. Albo w Japonii, albo gdzieś jeszcze dalej. To powtarzające się poczucie budzi w nim tak dobrze teraz znaną tęsknotę. Kiedyś pojawiała się na widok awokado leżącego nieruchomo w jego dłoniach albo pod wpływem szelestu liści eukaliptusa przy Calvert Street w czasie silnego wiatru. Teraz pojawia się częściej pod wpływem prostego pragnienia, aby wyjechać. Poznać to, od czego oddziela go linia horyzontu.

Chłopiec brodzący na brzegu Mamaroneck Harbor to ja, podobnie jak ja jestem dziadkiem opowiadającym wnukowi o katastrofie na Hawajach. Zastanawiam się coraz częściej nad czasem, jaki upłynął między tymi dwiema chwilami, i zdumiewam się tym, co się wydarzyło w dzielących je latach, gdy widywałem bezsensowną śmierć i byłem świadkiem złamania każdego z przykazań, jakich nauczyłem się w dzieciństwie, i gdy widywałem rzeczy tak piękne, że zapierały mi dech w piersiach.

Kilka scen takich jak te, które wspominam powyżej, przywołanych z lat najdawniejszych – Mamaroneck, Zuma Beach czy peron w Needles – to tylko jeden z wielu sposobów, żeby podjąć dłuższą opowieść o kimś, kto w następnych latach wielokrotnie wyruszał przed siebie, by oglądać świat. To zatem tylko szkic, ale, jak mi się wydaje, taki, który ma pewien sens. Oczywiście niczyje życie nie układa się tak gładko i w zrozumiałym sposób wokół jakiegoś różańca wspomnień. Długie życie można jednak zrozumieć jako rodzaj katarakty zaćmiewającej obraz zamierzeń, których nie sposób sobie precyzyjnie przypomnieć. Część z najdawniejszych zamiarów wyblakła. Inne trwają mimo nieuchronnych szturmów amnezji, zdrady i utraty wiary. Niektóre utrzymują się przez lata, ale podlegają nieznacznej korekcie. Nieoczekiwana trauma i inne rany z całą pewnością mogą w każdym momencie wyrzucić pojazd z obranej drogi, może nawet na zawsze, a wtedy znika cel, do którego zmierzaliśmy. A jednocześnie niewypowiedziana wzniosłość przypadkowego momentu, jak dotyk dłoni ukochanej osoby na rozpalonym czole, może ożywić determinację, aby

iść dalej, a tym samym przynajmniej na pewien czas uwolnić swoje życie od ciężaru niewiary w siebie, wątpienia i żalu. Albo chwila zdumiewającego piękna może na powrót obudzić pragnienie niegdyś kierujące człowiekiem, który chciał prowadzić życie pełne głębokiego sensu – pragnienie, aby stanąć na wysokości własnych oczekiwań.

Moje życie przynosiło mi czasem momenty ekstazy, a czasem smutku, niewiele odbiegając pod tym względem od życia innych osób. Może z wyjątkiem nieodpartego pragnienia, aby podróżować do najdalej położonych miejsc, jakie czułem zawsze, oraz sensu, jaki działania podejmowane z determinacją pod wpływem tego pragnienia miały dla mnie i moich najbliższych.

Niemal mimowolnie stałem się podróżnikiem, choć nigdy nie byłem prawdziwym wędrowcem³.

Podjmując pracę nad tą autobiografią, wiele lat po okresie mojego dorastania w Nowym Jorku, napisałem do zarządcy Orienta Apartments w Mamaroneck. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o miejscu swojego pochodzenia i ufałem, że budynek wciąż stoi oraz że istnieje ktoś taki jak jego zarządca. W liście opisałem, którędy jako trzylatek szedłem z windy do naszego mieszkania na drugim piętrze. Czy on lub ona może określić numer tego mieszkania, mając do dyspozycji jedynie taką informację? Manager odpisał bardzo szybko. Załączył do listu kilka rysunków przedstawiających otoczenie budynku i parę fotografii. Na jednym z rysunków zaznaczył niewielki ogródek, gdzie, jak mu pisałem, moja matka hodowała róże, tulipany i irysy.

Poinformował mnie, że numer tego mieszkania to 2C.

2. Pojechać / zobaczyć

Po przeprowadzce do Nowego Jorku w 1956 roku i skończeniu prywatnego liceum na Upper East Side pojechałem do koledżu na Środkowym Zachodzie. Chłopiec, który niegdyś uważał, że pragnie prowadzić rozległą farmę, postanowił teraz, że będzie się specjalizował w inżynierii lotnictwa, wybrał więc karierę, o której nie miał żadnego pojęcia. Rejon południowej Kalifornii, w którym dorastałem, po zakończeniu II wojny światowej stał się jednak centrum projektowania, montażu i testowania samolotów. Ten sposób bycia w świecie łączył się z powietrzem, którym oddychałem jako dziecko, a naturę tej pracy w bardzo żywy i plastyczny

sposób uosabiał dla mnie pierwszy mąż mojej matki, Sidney van Sheck, którego poznałem w Kalifornii wiele lat po ich rozwodzie⁴.

Sidney był emigrantem z Czech. Wydaje mi się, że poślubił moją matkę w Alabamie w 1934 roku i wkrótce po ich rozwodzie przeniósł się do południowej Kalifornii. W latach pięćdziesiątych mieszkał zaledwie kilka kilometrów od nas w górach Santa Monica, powyżej Malibu, ze swoją drugą żoną Grace. W latach, gdy mieliśmy problemy finansowe, moja matka utrzymywała nas, pracując na kilka etatów, a Sidney był zatrudniony jako inżynier lotnictwa w Hughes Aircraft w Culver City. W tym okresie, po kilku latach pracy nad samolotami, takimi jak latająca łódź Spruce Goose Howarda Hughesa, projektował jedne z pierwszych satelitów. Razem z Grace zaprzyjaźnili się z naszą trójką na wiele rozmaitych sposobów. Jestem pewien, że wspierał matkę finansowo, często też zapraszał mnie, żebym posiedział w milczeniu na stołku w jego domowej pracowni i poprzyglądał się, jak z drewnianych i metalowych części składa model samolotu, który prawdopodobnie aktualnie budował.

Zachwycały mnie intensywność, z jaką Sidney poświęcał się pracy, pewność, z jaką operował narzędziami, a jednocześnie fascynowało nieprawdopodobieństwo samych „samolotów”, z którymi radził sobie tak swobodnie. Poza tym miał szybki sportowy samochód brytyjskiej produkcji, kabriolet Austin-Healey. Dwuosobowy. Kiedy z opuszczonym dachem jechaliśmy bardzo szybko autostradą Pacific Coast, słyszałem odgłosy płynnej pracy skrzyni biegów, gdy z idealną precyzją redukował je na zakrętach, a potem przyspieszał, wjeżdżając na prostą, a maska samochodu za każdym razem nieco się unosiła. Jak jakieś zwierzę wrywające się naprzód. Czując pęd wiatru we włosach i patrząc, jak zręcznie naciska pedał sprzęgła podczas zmiany biegów, miałem poczucie, że wprowadza mnie w najbardziej ekscytujące doświadczenia na świecie.

Sidney, podobnie jak Dara, był uosobieniem ojca, jakiego pragnąłem mieć. W latach dwudziestych skończył malarstwo w paryskiej École des Beaux-Arts. Potem zdobył dyplom z inżynierii lotniczej w Massachusetts Institute of Technology. Zanim rozwiódł się z moją matką i przeniósł do Kalifornii razem z Grace, pracował w firmie Bechtel-McCone-Parsons zajmującej się projektowaniem samolotów wojskowych, która miała oddział w Birmingham w Alabamie. Jego praca polegała na udoskonalaniu projektu skrzydeł dwóch bombowców: B-24 Liberator i B-29 Superfortress, oraz projektowaniu uzbrojenia dla myśliwca P-38 Lightning

(właśnie takim samolotem leciał pisarz i lotnik Antoine de Saint-Exupéry, gdy zaginął nad Morzem Śródziemnym w 1944 roku – fakt, o którym dowiedziałem się znacznie później, kiedy zakochałem się w tej postaci, zwłaszcza w powieściach *Poczta na Południe* i *Nocny lot*).

Podczas I wojny światowej Sidney pilotował SPAD S.VII, myśliwiec starego typu francuskiej armii. W 1919 roku został zestrzelony nad francuskimi Alpami (zdaniem mojej matki przez Czerwonego Barona von Richthofena). W następstwie tej katastrofy miał uszkodzone kręgi szyjne i inne obrażenia, ale dalej latał samolotami jednomiejscowymi – aż do kolejnej katastrofy w Karolinie Północnej w latach dwudziestych, jednak i po tym wypadku zdołał dojść do zdrowia. Uzyskał amerykańskie obywatelstwo, a skończywszy studia inżynierskie i zdobywszy pracę w firmie Bechtel-McCone-Parsons, mógł poświęcić więcej czasu swojej drugiej namiętności, ucząc sztuki na Uniwersytecie Auburn. Moja matka, która zaczęła wtedy studia w sąsiednim koledżu Montevallo, spotkała go tam w 1933 roku i wkrótce podjęła studia malarskie pod jego kierunkiem. Pobrali się niedługo po tym, jak zdobyła dyplom. W następnym roku Sidney otrzymał od Works Progress Administration w Waszyngtonie zlecenie, w ramach którego zaprojektował coś, co stało się największym murałem tej organizacji na amerykańskim Południu. Dzieło było pomyślane jako hołd złożony godności pracy fizycznej i ostrzeżenie przed bezwzględnym wyzyskiem korporacji. Mural pokrywał rozległe nadproże łukowe proscenium w audytorium liceum Woodlawn w Birmingham⁵.

Przypuszczalnie pod wpływem nieuświadomionego pragnienia naśladowania tego kosmopolity, artysty i inżyniera zapisałem się do koledżu z przekonaniem, że moim powołaniem jest praca inżyniera lotnictwa. Z całą pewnością w tym kierunku popychało mnie także uwielbienie dla latania i związanego z nim ducha przygody – książka Mary S. Lovell *Straight on Till Morning* o Beryl Markham, książka samej Markham *West with the Night*, życie Amelii Earhart, jakie wylaniało się z gazetowych relacji, a także opowieści o pilotach latających na Alasce, które znajdowałem w czasopiśmie. W połowie pierwszego roku uświadomiłem sobie jednak nieporozumienie związane z planowaną karierą inżyniera i skierowałem swoje zainteresowania w stronę nauk humanistycznych – filozofii, literatury, antropologii, teatru, historii – i szybko poczułem się tam bardziej na miejscu.

Z perspektywy czasu widzę, z jaką determinacją próbowałem się zanurzyć w którejs z wielu aktywności artystycznych podczas pierwszego roku w koledżu. Jako początkujący aktor czułem silne pragnienie, by odpowiedzieć na zawile wskazówki reżysera (na zajęciach teatralnych zdumiewałem się tym, jak emocjonalną zawartość sztuki można przedstawić na scenie przez wprowadzenie określonych schematów ruchu aktora). Czułem tę samą skłonność do podporządkowania się formalnym schematom w moich pierwszych próbach prozatorskich i fotograficznych, gdy zacząłem robić zdjęcia otaczających mnie krajobrazów północnej Indiany i południowego Michigan. Przesiadywałem nad czarno-białymi zdjęciami Minora White'a, Harry'ego Callahana, Wynna Bullocka i Edwarda Westona, zdumiony ich doskonałością, czystością kompozycji. Miałem nadzieję, że uda mi się ich naśladować. Chciałem też wzbudzać współczucie, które znajdowałem na zdjęciach takich artystów jak Walker Evans czy Dorothea Lange, choć nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mógłbym wdziierać się w czyjeś życie, aby przedstawić cierpienie w taki sposób, jak robili to oni.

Teraz, po upływie pięćdziesięciu lat, potrafię oczywiście ocenić, że porzucenie przeze mnie pomysłu na karierę inżyniera lotnictwa było konsekwencją także kilku innych czynników. Gdy miałem dziewięć lat, pewien przyjaciel rodziny podarował mi osiem gołębi. Spędzałem wiele godzin absolutnie zafascynowany tymi ptakami, zauroczony ich upierzeniem i ewolucjami, jakie wykonywały na niebie, tym, jak celowo traciły siłę aerodynamiczną i nieustannie kołując, opadały w powietrzu przez setki metrów, zupełnie jakby zostały zestrzelone z wiatrówki. Potem w akrobatyczny sposób odzyskiwały panowanie nad swoim lotem dosłownie w ostatniej chwili, nim uderzyły w ziemię. Pamiętam, jak niewielkie różnice ciśnienia sprawiały, że stada gołębi zmieniały trasę lotu, dzięki czemu stykające się masy powietrza stawały się niemal widoczne gołym okiem. Obserwując je, czułem niedowierzenie i radość.

W tych samych latach sklepiłem także dziesiątki modeli samolotów, które zawieszałem na niciach u sufitu. Myśliwce i bombowce, P-38 czy B-24, a także latające łodzie: PBY Catalina, Martin PBM Mariner i Martin M-130. Te duże samoloty mogły dotrzeć do miejsc, w których nie zbudowano jeszcze pasów startowych, potrafiły lądować w zatokach i lagunach. Kiedy obudziłem się w nocy i spoglądałem w górę, modele wisiały nade

mną niczym konstelacje. Były równie kuszące jak wszystkie inne znane mi gwiazdozbiory.

W niektóre wieczory wyobrażałem sobie, że siedzę w kokpicie jednego z tych samolotów, pozbawionego broni i bomb. Przelatywałem nad zalaną światłem księżycą doliną San Fernando, a potem kierowałem się w głąb lądu ponad łańcuchem górskim i Mount Whitney, zmierzając prosto na południe – do Meksyku. Leciałem przez noc jak Beryl Markham, zaledwie kilkaset metrów nad powierzchnią ziemi. Wracając do domu nad zachodnimi Karaibami i Zatoką Meksykańską, oglądałem pierwsze promienie słońca na wschodzie godzinę wcześniej, niż pojawiły się w Sierra Nevada i rozświetliły korony eukaliptusów rosnących w dolinie San Fernando.

Estetyka lotu powietrznego, którą tak się zachwycałem podczas pierwszego roku moich studiów, zderzyła się z wykładami o wytrzymałości aluminium na rozciąganie, analizą przepływu w tunelu aerodynamicznym oraz empirycznym podejściem inżynierii lotniczej. Nigdy nie umiałem odnaleźć w chemii ani w fizyce niczego, co przypominałoby przyspieszone, mocne bicie serca, które czułem, ilekroć patrzyłem, jak moje gołębie kołują na tle tropikalnego błękitu i zachmurzonego nieba nad Kalifornią, albo gdy widziałem, jak trzydzieści, czterdzieści z nich wypada nagle z korony eukaliptusa pod wpływem sygnału, którego nie potrafiłem zrozumieć. Nie umiałem także odnaleźć w zajęciach z rachunku różniczkowego tego nieugiętego ducha Saint-Exupéry'ego, gdy przemierzał bezkresne połacie Sahary Zachodniej pod rozgwieżdżonym niebem. Na seminarium z fizyki nigdy nie usłyszałem o sensie brawury Ikara i wyzwaniu, jakie rzucił niebiosom.

Jako siedemnastolatek pożądałem bezpośredniego doświadczenia bycia w świecie, ale większość moich odruchów miała charakter czysto metaforyczny, pozbawiony kształtu i celu. Podobnie jak wielu innych nieodjrzałych chłopców, rozpaczliwie pragnących znaleźć dla siebie jakieś miejsce w życiu, błąkałem się – niezdolny, by się wysłowić, skupiony na sobie i przybierający pozycję obronną.

W tych latach regularnie opuszczałem zajęcia, aby eksplorować krajobrazy Środkowego Zachodu buickim roadmasterem z 1951 roku, moim pierwszym samochodem, który trzymałem nielegalnie poza terenem

kampusu. Przemierzyłem wtedy setki kilometrów, aby się przekonać, co też może znajdować się w północnym Michigan czy w Iowa po drugiej stronie Missisipi. Podróżując, zacząłem jednak rozumieć coś w samym sobie, zaspokajając jakiś głód. Po ukończeniu szkoły średniej w 1962 roku spędziłem dwa miesiące, jeżdżąc po zachodniej Europie niedużym autokarem Fiata w towarzystwie piętnastu moich kolegów z klasy i kilku nauczycieli. Zmierzaliśmy z Portugalii na wschód przez Hiszpanię i Francję, a potem przez Alpy Nadmorskie do Włoch. Dotarliśmy aż do Rzymu, a potem pojechaliśmy na północ przez Szwajcarię, Liechtenstein, Austrię, RFN ponownie do Francji i przez Lotaryngię dotarliśmy do Paryża. Przekroczyliśmy kanał La Manche z Calais do Dover, a potem pociągiem pojechaliśmy do Londynu. Ostatniego dnia pobytu w Irlandii przepłynąłem w małej łódce wiosłowej kawałek Sionny, pragnąc, aby ta wspaniała podróż – od galerii sztuki w Madrycie po posępny krajobraz przełęczy Brenner, od krzyży i gwiazd Dawida na cmentarzach w Artois i Pikardii po surowe Klify Moheru w hrabstwie Clare – nigdy nie dobiegła końca.

Bodźce, których dostarczyła mi ta podróż – krajobrazy, dzieła sztuki, jedzenie i rozmowy ze sprzedawcami – były oszałamiające. Chciałem, żeby ten rodzaj pobudzenia w jakiś sposób kształtował moją drogę przez świat.

Jako człowiek dwudziestokilkuletni spędziłem jedno lato, ujeżdżając konie w Wyoming, a następne na spędzie była w Helena w stanie Montana. Przemierzyłem prawie wszystkie z czterdziestu ośmiu stanów USA. Pojechałem ponownie do Europy, do Anglii, i odwiedziłem hiszpańską Asturię, skąd pochodził mój ojczym. Opublikowałem pierwsze opowiadania. Nadal jednak nie byłem pewny tego, co robić. Zanim się ożeniłem, odwiedziłem klasztor trapistów w Kentucky i zastanawiałem się, czy to nie moje przeznaczenie. Ale nie było (w tym okresie mieszkał tam mnich Thomas Merton – jego autobiografia i inne książki działały na mnie bardzo inspirująco w szkole średniej i koledżu). W 1968 roku jako człowiek żonaty, z dyplomem uniwersytetu, przeniósłem się do Oregonu, aby studiować kreatywne pisanie na wydziale sztuk pięknych. W tym okresie sądziłem, że najlepszym wyjściem dla mnie będzie kariera nauczyciela. Program studiów szybko mnie rozczarował, ale spędziłem na Uniwersytecie Oregonu kilka semestrów, studiując folklor, dzien-

nikarstwo i kulturę rdzennych mieszkańców Ameryki. Z czasem życie uniwersyteckie zaczęło oznaczać dla mnie głównie domową wygodę i odebranie od świata codziennej pracy. Sale wykładowe jawiły się jako miejsca nieznośnie hermetyczne, wręcz niebezpieczne, jak uznałem, mimo niezwykle pobudzającej aury głębokich uczonych dyskusji, które się w nich toczyły.

Zacząłem wtedy więcej podróżować w określonym celu, niemal nieustannie, po amerykańskim Zachodzie. Porzuciłem wszelkie tłące się we mnie ambicje związane z teatrem i choć odniosłem pewne skromne sukcesy w fotografii krajoobrazowej, odłożyłem również aparat. Chciałem oglądać krajobrazy i pisać o nich, przekonany, że potrafię wejść z nimi w pouczający dialog, a także opowiadać o fascynującej odmienności dzikich zwierząt.

Te podróże do krain położonych z dala od mojego domu na początku lat siedemdziesiątych – mieszkałem wtedy na zachodnich stokach Gór Kaskadowych w zachodnim Oregonie, w piętrowym domu nad rwącym potokiem, gdzie mieszkam do dziś – ostatecznie stały się wędrówkami z Aborygenami na Terytorium Północnym Australii, a także poszukiwaniem szczątków hominidów wraz z grupą członków plemienia Kamaba w Kenii. Podróżowałem w górę Orinoko w Wenezueli, przez Góry Królowej Maud na Antarktydzie, spływałem rzeką Jangcy z Chongqing do Wuhanu. Podziwiałem klify w afgańskim Bamianie, gdzie niegdyś, przez tysiąc pięćset lat, stały dwie potężne postaci Buddy – męża i żony – jako *genii loci*, zanim zostały zniszczone przez kulturowych ekstremistów. Podróżowałem po północnej Japonii, Bliskim Wschodzie, południowym Pacyfiku.

Początkowo podczas tych wypraw uważałem się za reportera przemierzającego dalekie krainy, wyruszającego do nich z bardziej uprzywilejowanego świata. Żywiłem głębokie przekonanie – o ile potrafię dziś uchwycić tamten sposób myślenia – że poza powinnością estetyczną jako pisarz mam też pewne zobowiązanie etyczne. Chodziło o to, aby moje intensywne doświadczanie świata ujmować w słowa tak dobrze, jak tylko potrafię, i opisywać to, co widziałem. Zdawałem sobie sprawę z tego, że inni potrafią dostrzegać więcej niż ja oraz że inni ludzie nie mają możliwości podróżowania w taki sposób jak ja, gdy z czasem wyjeżdżanie stało się moim nawykiem. I cokolwiek czytelnik moich książek mógł wywnioskować z tego, co próbowałem opisać, miałem świadomość, że

jego przemyślenia mogą się nie pokrywać z moimi. Postrzegałem więc wtedy siebie samego jako pewnego rodzaju posłańca, który wraca do domu z innej krainy, dokonawszy z nią i jej mieszkańcami pewnej wymiany kulturowej, i w postaci opowieści przynosi pewien niekompletny opis tego, jak odmienne, zdumiewające i naprawdę niepojęte jest życie toczące się poza granicami wioski, w której dorastałem.

Z perspektywy czasu widzę, że ten ideał – postrzeganie samego siebie jako kogoś, kto służy czytelnikom – sprawiał, że balansowałem na granicy ułudy. Ale w tamtym okresie przyjąłem taki sposób pracy. Nie przyszło mi do głowy, że tak poważne traktowanie życia może mnie doprowadzić do utraty perspektywy. Jak inaczej, spytałbym wtedy, można ją zdobyć?

Niewykluczone, że artysta Saul Steinberg scharakteryzował kiedyś samego siebie jako pisarza, który rysuje. Przez pewien czas w 1981 roku, gdy odłożyłem aparat fotograficzny, myślałem o sobie – z pewnością pretensjonalnie – jako o artyście, który pisze. W pewien sposób byłem wyczulony na malarski aspekt oglądanych przestrzeni, fascynowało mnie przemierzanie różnych rodzajów krajobrazu oraz ich wewnętrzne układy. W moich tekstach zwracałem uwagę na te rzeczy mniej więcej w taki sam sposób, z taką samą intensywnością jak w moich wczesnych fotografiach. Szukałem kontrastów i kontrastów w nadziei, że uda mi się znaleźć w tych literackich kompozycjach subtelną równowagę tworzących je elementów, niezależnie od ich natury.

Gdzieś po drodze, po napisaniu wielu esejów i opowiadań, po wielu latach pracy, zacząłem sobie uświadamiać, w jaki sposób z upływem czasu zmieniłem się jako pisarz. Pomyślałem wtedy: czy nie byłoby czymś interesującym wrócić do pewnych miejsc odwiedzonych wcześniej i przekonać się, jak wiele można się o nich dowiedzieć na podstawie w oczywisty sposób odmiennych okoliczności takiego spotkania? Głęboko wierzyłem, że z należytą starannością opisałem to, co ujrzałem tam za pierwszym razem; chciałem jednak doświadczyć tych miejsc jeszcze raz, wrócić na przykład na daleką północ Arktyki, na Galapagos, jeszcze raz pojechać na Antarktydę (w swoich tekstach beletrystycznych także rozwijałem narracje umieszczone w konkretnym krajobrazie – na rolniczych terenach Kalifornii mojego dzieciństwa, na ulicach Manhattanu, w lasach deszczowych strefy umiarkowanej, które stały się

moim domem w 1970 roku, w dzielnicy Jimbocho w Tokio – ale w tych wypadkach potrzeba ponownego odwiedzenia tych miejsc nie była już tak silna).

Wiedziałem, że podczas pierwszych wizyt w tych miejscach przeoczyłem bardzo wiele. Wierzyłem, że za drugim razem, niezależnie od tego, co tam spotkam, ogólne wrażenie będzie inne; będę nocował w innych miejscach; pogoda nie będzie taka sama, wpłynie na mnie lektura przeczytanych książek. Poza tym objawienia i niepowodzenia własnego życia, które zgromadziłem pod drodze, z całą pewnością wpłyną na kształt moich doznań.

Nawet jeśli będziemy z największą uwagą starali się zaobserwować otaczającą nas rzeczywistość na wielu poziomach, nigdy nie uda się nam całkowicie zrozumieć jakiegoś konkretnego miejsca – niezależnie od tego, ile razy je odwiedzimy. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że samo miejsce się zmienia, lecz także ze względu na to, iż najgłębszą naturą każdego miejsca jest jego nieprzejrzystość. Jego nieprzenikliwość. Nigdy nie pociągała mnie koncepcja formułowania definitywnych osądów, zwłaszcza w wypadku geograficznych kręgów kulturowych z ich herakliotejską naturą. Gdy ponownie odwiedzałem te miejsca, byłem więc bardziej zainteresowany tym, w jaki sposób, wracając do moich poprzednich doświadczeń, zdołam znaleźć prawdę inną od tej, o jakiej sam niegdyś pisałem. Interesowało mnie również to, jak pamięć o danym miejscu może pobudzać nowe emocje i w jaki sposób prawdziwość takich emocji może wpłynąć na fakty, które niegdyś tak pieczołowicie zebrałem. Odnosząc się do porównywania epistemologii kulturowych i różnych sposobów poznawania świata, antropolog Carl Schuster napisał: „Nikt nie ma nawet najślabszego pojęcia o tym, jaki ten świat jest naprawdę; jedyną rzeczą, jaką można bezpiecznie przewidzieć, jest to, że jest bardzo różny od tego, co wszyscy o nim przypuszczają”. Schuster zgłaszał zastrzeżenia wobec wyniosłości, z jaką badacze i akademicy mówią czasami o rzeczywistości i ludzkim losie. Zwracał uwagę na znaczenie emocjonalnych i duchowych związków, jakie cechują kontakty wszystkich kultur z otaczającą je przestrzenią – ich miejscem – i które wiele z tych kultur nadal otacza głęboką czcią – obok bardziej empirycznych czy analitycznych reakcji na te same przestrzenie. Uznawał, że te sposoby przeżywania w równym stopniu pogłębiają nasze rozumienie tego, co kryje się poza wszelkim zrozumieniem.

Z czasem ogarnęło mnie poczucie, że pragnę popatrzeć jeszcze raz niemal na wszystko, co widziałem wcześniej.

Podczas ponownej lektury moich notatek z wypraw terenowych i tworzenia szkicu *Horyzontu* przyświecało mi pragnienie, aby przyjrzeć się dystansowi dzielącemu tę chwilę w 1948 roku, gdy jako chłopiec stałem w płytkiej wodzie wśród kolorowych jachtów bogatych mieszkańców Orientu, od zimowego dnia w 1994 roku, gdy bodajże po raz dziesiąty odwiedziłem Przylądek Złej Pogody, cypel na wybrzeżu Pacyfiku w Oregonie – miejsce, w którym kapitan James Cook po raz pierwszy zbliżył się do lądu Ameryki Północnej. Co chciał znaleźć człowiek, który tamtego dnia rozbił obóz na stoku Przylądka Złej Pogody w oczekiwaniu na późnozimowy sztorm, przypominając sobie pewne sceny z dzieciństwa, a jednocześnie próbując wyobrazić sobie statek Cooka „Resolution” zbliżający się do brzegu? Okręt, który najpierw pojawił się jako maleńka kropka na horyzoncie, a potem w ciągu kilku godzin urósł do pełnego rozmiaru trójmasztowca z częściowo zrefowanymi żaglami i plamami rdzy pokrywającymi jego spływniki oraz czarne boki kadłuba.

Tamtego poranka w marcu 1778 roku ciemny zarys porośniętych lasami grzbietów nadbrzeżnego łańcucha Oregonu majaczył pod powłoką nisko wiszących chmur. Wicher siekł wodę pasmami deszczu wśród szalejącej burzy, gdy statek Cooka, płynąc ostro pod wiatr, znalazł się zaledwie kilka mil morskich od wybrzeża. W ciągu następnych kilku dni sztorm odepchnął żaglowiec na południowy zachód, wiele mil od brzegu, zanim załoga zdołała nad nim zapanować i podjęła przerwany kurs na północ. W tym momencie „Resolution” znalazł się już tak daleko od brzegu, że dwa dni później majtkowie przeoczyli ujście rzeki Kolumbia. Europejczycy zdołali dostrzec to ujście dopiero czternaście lat później.

Jak daleko zawędrowałem pomiędzy momentem chłopięcej tęsknoty za podróżą w nieznaną a chwilami refleksji na stokach przylądka? Zobaczywszy tak wiele części świata, ile się nauczyłem o złowroziej stronie ludzkiej natury, o ludzkich triumfach i niepowodzeniach? Albo o własnych upadkach i słabościach? Wielokrotnie wracałem do tych pytań, odwiedzając Przylądek Złej Pogody, i obracałem je w palcach jak starą, dobrze znaną monetę.

Oczywiście nie ma w tym nic oryginalnego. Wszyscy spoglądamy wstecz na swoje życie i usiłujemy zrozumieć, co się nam przydarzyło, do-

strzec w nim stałe wątki. Układając plan tej książki, chciałem także zbudować narrację, która wciągnie czytelnika zmagającego się z podobnym pragnieniem odczytania trajektorii własnego życia, znalezienia w nim spójnej opowieści niosącej znaczenie w takim momencie dziejów kulturowych i biologicznych, gdy utrata wiary w sens naszego istnienia staje się coraz atrakcyjniejsza. W czasach, gdy wielu z nas widzi na horyzoncie niewiele więcej prócz zapowiedzi mrocznej przyszłości.

W ciągu około dziesięciu lat spędziłem wiele dni, obozując na wzgórzach Przylądka Złej Pogody – Cook nadał mu tę nazwę tamtego dnia, 7 marca 1778 roku – wchłaniając całym sobą zmienne nastroje Pacyfiku. Przestrzeń oceanu widziana od strony przylądka jest tak rozległa, że nie sposób objąć ją jednym spojrzeniem – podobnie jak zerknięcie kątem oka na policzek ukochanej osoby nie może się równać z obrazem jej twarzy, gdy spojrzymy jej prosto w oczy. Kiedyś, patrząc na proteuszowy i przypominający scenę bezmiar morza, zadałem sobie pytanie: czy mógłbym wyobrazić sobie, że w tej samej chwili patrzę na inny rozległy bezkres – na przykład surowe piaski pustyni Namib w Afryce, drżące tam, ponad nieprzenikliwą powierzchnią wody, i unoszące ledwo dostrzegalne stado sześciu oryksów wędrujących przez pustkowia? Albo czy potrafiłbym wyczarować w tym samym bezmiarze oceanicznej przestrzeni chłopiące wspomnienie – jakiegoś popołudnia na pustyni Mojave, gdy szukałem kojotów i zagubiłem się w niezmiernych połaciach zarośli – nie tracąc żadnego z tych obrazów: prawdziwego rozciągającego się przede mną i przywołanego z pamięci? Albo czy obserwując, jak wiatr zrywa się znad morskich fal, mógłbym jednocześnie utrzymać w pamięci obraz nocnej bryzy docierającej czasami do hotelowego okna na Mindanao, miękkiej i łagodnej jak koński oddech, a potem przywołać głos świszczącego, porywistego wiatru, godzinami szarpiącego ściany namiotu, w którym kryłem się przed mroźną nocą na Antarktydzie?

Co się zmieniło dla tego stojącego na wybrzeżu Mamaroneck chłopca, na którego siedząca w cieniu dębu matka zerknęła regularnie znad swojej robótki, aby po raz kolejny upewnić się, że brodzi przy brzegu w promieniach słońca?

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych zacząłem odwiedzać Przylądek Złej Pogody, nie przyświecały mi żadne szczególne powody – poza

moim podziwem dla Jamesa Cooka. Przylądek leży niedaleko mojego domu i uwielbiałem przyglądać się tamtejszym ptakom, łodziom rybackim i zmianom pogody. Sam widok oceanu oglądanego ze wzgórz przylądka, wysoko ponad stromizną poszarpanych klifów, często bywał spektakularny. W niektóre dni morze było spowite tak łagodnym światłem, tak spokojne, że dziesiątki mil kwadratowych wody wydawały się taflą prążkowanego szkła. Światło odbite od jego powierzchni docierało do źrenicy mojego oka tak jednolitym strumieniem, że nawet wytyżając wzrok, nie potrafiłem dostrzec żadnej faktury. W niektóre letnie wieczory powietrze było z kolei tak przejrzyste, że patrząc w kierunku przeciwnym do morza, potrafiłem dostrzec pewne detale w odległości trzydziestu kilometrów na wschód: łańcuch górski w głębi lądu skąpany w poświacie księżyca. A jednocześnie patrząc na północ, po przeciwnej stronie srebrzystego półksiężyca widziałem niezmiernie migotliwe pole jasno świecących gwiazd.

Od czasu do czasu spędzałem na przylądku kilka leniwych dni, za każdym razem biwakując w tej samej odrastającej wycince. Z czasem przerodziło się to w pewien rodzaj terminowania. Nieraz, siedząc wśród młodych drzewek, podnosiłem z ziemi jakiś drobny przedmiot, szyszkę świerka sitkajskiego albo przejrzyste skrzydło ważki, i próbowałem go naszkicować. Wielokrotnie starałem się za pomocą ołówka odtworzyć coś, na co warto byłoby jeszcze raz rzucić okiem – bez powodzenia; ale po godzinie rysowania osiągałem pewien wgląd – nie tylko dotyczący kształtu tego przedmiotu, lecz także jego ogólnej formy w trzech wymiarach. Chwytałem konkretny zarys, a niekiedy powtarzający się rytm jego części składowych lub w inny sposób wchodziłem z nim w bliski, intymny kontakt.

Te drobne fragmenty życia wielkości dłoni stawały się dla mnie bodźcem do rozmyślań wywołującym emocje równe tym, jakie mogłoby spowodować nagłe pojawienie się pumy. Sięgałem po te niewielkie przedmioty, aby poczuć ich kształt, odczuć ciężar, dotknąć faktury. Albo obracałem je i trzymałem w dłoniach w taki sposób, by złapać refleksy promieni słońca – co można zrobić na przykład z ptasim piórem – albo w taki sposób, by światło wydobywało głębokie cienie odłamka kości.

W centrum systemu poglądów, który z upływem lat zastąpił (a może wzbogacił) moje wierzenia religijne, leży przekonanie, że numinalny wymiar pewnych nieożywionych obiektów ma znaczenie, jest równie rzeczywisty jak ich faktura czy kolor. Moim zdaniem to nie jest iluzja.

Oczywiście nie zdołamy zapewne „wycisnąć sensu” z kamienia, ale gdy spojrzymy nań w pewnym życzliwym milczeniu, kamień, jeśli ma taką sposobność, może bez trudu i w sposób naturalny odsłonić niektóre elementy swojego znaczenia.

Spędziłem wiele godzin na przyłądku, uwalniając umysł od skłonności do analitycznego myślenia, zawieszając jego nieustające dążenie do uchwycenia istoty, i przy tej okazji regularnie doświadczałem prawdy nieśmiertelnej metafory Williama Blake’a, że cały świat można zobaczyć w jednym ziarenku piasku.

Kiedy po raz kolejny jechałem w górę rzadko używanych dróg przyłądka, aby dotrzeć do dawnej polany drwali, gdzie rozbijałem obóz, od czasu do czasu ogarniało mnie niezwykle intensywne uczucie podziwu dla mojego starego samochodu. Na niektórych stromych odcinkach wąskich dróg wręcz czołgałem się pod górę na pierwszym biegu mimo napędu na cztery koła, starając się nie naruszyć zbytnio powierzchni drogi gruntowej i nie przyspieszyć tym samym jej erozji. Zimą byłem w stanie przedzierać się przez mokry śnieg i głębokie błoto w miejscach, gdzie ciężkie maszyny, które dawno już zniknęły, porobiły pokaźne bruzdy. Gdy napotykałem na drodze wielkie zwalone pnie drzew, ciąłem je na kawałki i odsuwałem na bok za pomocą wyciągarki samochodowej, by móc jechać dalej. Za każdym razem pojawiało się przy tej okazji pytanie o stosowność tego, co robię. Czy nie powinienem po prostu pozwolić, by ta ziemia zablizniła swoje rany? Czy moja fascynacja własnymi spekulacjami, moje własne cele były rzeczywiście ważniejsze?

Czy nie ma końca tego wędrowania i przyglądania się?